

Pasja Chrystusa

Zamknięty pokaz. Na sali gasną światła. Za chwilę będziemy świadkami męki Chrystusa, której detale będą wstrząsające na tyle, iż wszyscy siedzą z szeroko otwartymi oczami. Nie słychać żadnego komentarza, ani włączonej komórki. Jakiś człowiek nerwowo pokasłuje w kącie, a w scenie biczowania, gdzie Jezus jest katowany przez oprawców, odwracam się i spoglądam w oczy osób za mną. Pewna kobieta ma je pełne łez, druga wtuliła się w ramię partnera, inny nerwowo pociera ręką skronie. Naturalnie widać, iż wszyscy są głęboko poruszeni i nie mogą tego ukryć.

Nagle na ekranie ukazuje się scena ubiczowanego Jezusa, potem strzęp zakrwawionego ciała okrytego płaszczem z purpury. Poorane batami ciało niemal odpada od kości. Potem inna scena, która głęboko zapadnie mi w pamięć, kiedy Jezus idzie ulicami miasta, nie ma sił trzymać krzyża, a z jednej jej strony idzie podtrzymywana przez uczniów matka, a po drugiej czai się szatan, który kontempluje swe dzieło zniszczenia i nie jest pewny zwycięstwa. A potem okropna, realistyczna scena ukrzyżowania, jakiej nigdy w życiu nie widziałem i wreszcie śmierć Chrystusa.

Ludzie wychodzą z seansu w ciszy. Żadnych śmiechów czy gromkich komentarzy tylko lekko przybladłe twarze. I ulga, że to wszystko się wreszcie skończyło. „Pasja Chrystusa” (The Passion of the Christ), film reżysera Mela Gibsona, nakręcony za jego własne pieniądze, w pierwszym dniu wyświetlania w USA zarobił prawie tyle samo ile wyłożono na jego realizację (25 milionów dolarów).

25 lutego 2004 r., czyli w katolicką środę popielcową, odbyła się premiera filmu w USA i Australii. Wszystko za sprawą rodziny Gibsonów, gdzie Mel w USA jest reżyserem i aktorem, a jego ojciec Hutton, 85-letni były kleryk i emerytowany kolejarz — rzymskokatolickim fundamentalistą w Australii, na modłę dawnego francuskiego arcybiskupa-integrysty Lefebvre’a, z własną wspólnotą o nazwie Święta Rodzina (Holy Family). Film Mela to ukłon w stronę ojca.

Historia filmu zaczęła się ponad 12 lat temu. Mel Gibson przeżywał wtedy poważny kryzys. W jednym z ostatnich wywiadów ujawnił, że czuł się duchowym bankrutem, odczuwał pustkę w życiu, myślał nawet o samobójstwie. Ale znalazł ukojenie w lekturze Pisma Świętego i wpadł wtedy na pomysł, żeby tworząc taki właśnie film, doznać duchowego katharsis, oczyszczenia. Nie wiemy na ile prawdziwe są jego wyznania, faktem jednak jest, iż wszystkie wielkie studia w Hollywood uznały iż jest szaleńcem. Dlaczego?

Otóż celowym zabiegiem formalnym, mającym „obiektywizować” przekaz w oczach

widza, jest udźwiękowanie w wersji aramejskiej i łacińskiej, językach Pisma Świętego. Odbiorca, mając do czynienia ze swoistym odgrodzeniem językowym, ma zostać porażony jego autentyzmem, a zatem prawdą (w Polsce tłumaczeniem dialogów zajął się wybitny biblista, ks. prof. Waldemar Chrostowski). Efekt taki budowany był przez stulecia m. in. w liturgii Kościoła poprzez mszę po łacinie, co zmieniło dopiero Vaticanum II, czyniąc ją bliższą wiernym. Dialogi w filmie w martwych językach? Przecież na to nikt nie pójdzie do kina! — orzekli szefowie różnych wytwórni. Jednak nieoficjalnie wyglądało na to, że przestraszyli się trudnego tematu. Wszyscy dobrze pamiętali zamieszanie wokół „Ostatniego kuszenia Chrystusa” Martina Scorsese. Film wzbudził gwałtowne protesty chrześcijańskich organizacji religijnych, a właściciele niektórych sieci kin i wypożyczalni odmówili rozpowszechniania filmu. Ostatecznie Gibson sam wyłożył środki na realizację i nie zawiódł się: 29 lutego 2004 r., cztery dni po premierze, film miał już na koncie 113 milionów dolarów!

Ze względu na trudną sytuację polityczną, Gibson nie mógł nakręcić filmu w Ziemi Świętej. Zdecydował się więc na południowe Włochy. Miało to wpływ także na obsadę, w której nie ma (poza dwoma przypadkami) żadnej supergwiazdy, która mogłaby swym dorobkiem determinować odtwarzaną rolę. Marię Magdalenę gra Monica Bellucci. Marię, matkę Jezusa — Maia Morgenstern. Meksykanin James Caviezel w tytułowej roli to najbardziej semicki w typie urody Jezus z Hollywoodu, zrywający z tradycją niebieskookich brodatych blondynów, który notabene grał Zbawiciela w chrystusowym wieku — 33 lat. I to z dużym poświęceniem: w czasie biczowania miał grubą deskę na plecach, ale statysta nie wycelował prawidłowo i dziś aktor ma dużą bliznę. Postać Jezusa grał zimą, stąd przeraźliwe zimno dawało mu się mocno we znaki. Podgrzewano go więc grzejnikami i prawie poparzano mu stopy. W sumie na krzyżu spędził 15 dni zdjęciowych, podczas których wiele godzin zajmowała charakteryzacja.

Dlaczego powstał właśnie taki film? Film wstrząsający nawet najbardziej pobożnymi chrześcijanami? Otrzymujemy obraz bez zbędnych osłonek, realistyczny historycznie, językowo i zgodny prawie we wszystkim z przekazem Ewangelii. Nikt do tej pory nie odważył się zrealizować filmu poruszającego właściwie dwanaście ostatnich godzin pielgrzymki Jezusa na tej ziemi. Do tej pory kręcono filmy, które skupiały się na przekazywaniu przesłania dla ludzkości, a nie na Jego męce (na przykład film „Jezus”). Czyżbyśmy znajdowali się w takim stanie duchowym, że należy przedstawiać nam coś, co nami wstrząśnie, co zmusi do zadumy, co wpłynie na zmianę naszego całego życia? Czy sama Ewangelia nie jest dość przekonująca? Musimy odegrać kolejną pasję?

Znany ewangelista, Billy Graham, opisał film prosto: „Za każdym razem, kiedy przemawiam lub mówię o Krzyżu, to co obejrzałem na ekranie będzie zawsze w moim sercu i umyśle.” Natomiast James Dobson, przewodniczący organizacji „Focus on the Family” dodał: „Film jest głęboko poruszający, przemawiający i niepokojący — każdy musi go obejrzeć.” Myślę jednak, że najtrafniej ujęła temat Klaudia Puig, krytyk z „USA Today”, która napisała: „Mel Gibson skoncentrował się

na brutalności nie po to, by podniecić lub dostarczyć rozrywki, lecz by oświecić i zaszokować swoją publiczność. Patrzenie na sadystyczne tortury, którym poddawany jest Jezus Chrystus, porusza bardziej niż sama Biblia. Nawet tych, którzy w niego nie wierzą.”

„Chciałem, żeby ten film był szokujący — powiedział Gibson w wywiadzie telewizyjnym dla sieci ABC — żeby pokazywał przemoc w sposób ekstremalny. Chciałem popchnąć widzów na krawędź, aby zobaczyli ogrom poświęcenia Jezusa, żeby zobaczyli, że ktoś może doświadczyć tego wszystkiego i mimo to powrócić z miłością i przebaczeniem.”

Wygląda więc na to, że film „Pasja” miał między innymi taki właśnie cel. W świecie, gdzie ludzie przywykli do oglądania śmierci podczas codziennych wiadomości telewizyjnych doszło do społecznej znieczulicy. W świecie, gdzie słyszy się jęk zawodu wśród gawiedzi oglądającej na żywo rezygnację niedoszęłego samobójcy ze skoku z wysokiego dźwigu; w świecie, gdzie kwitnie handel ludzkim życiem w karetkach reanimacyjnych, gdzie własne dzieci zabija się i zamyka w beczkach w szafie, gdzie bezkarnie strzela się do ludzi w hipermarketach, pojawia się Gibson ze swoją wizją. I chyba mu się udało, gdyż choć upłynęło niewiele czasu, słyszy się sprawozdania tych, których ten obraz odmienił.

Są też tacy, którzy przepłacili projekcję śmiercią, jak 57-letnia Peggy Law Scott z Wichita w amerykańskim stanie Kansas. Zasłała 20 minut przed końcem seansu. Nie udało się jej uratować. Mimo tej tragedii Amerykanie zachwycają się filmem. Mówią „cudowny”, „emocjonujący”, ale też „okrutny”. Za jednym zamachem rzucono kopie do 2.500 kin. I w każdym z nich są komplety widzów. W teksańskim Plano wielu obejrzało film za darmo, dzięki miejscowemu biznesmenowi, który lekką ręką wyłożył 42 tysiące dolarów, by jak najwięcej ludzi obejrzało „Pasję”.

Spotyka się także wypowiedzi niektórych krytyków, którzy ganią obraz za okrucieństwo. A. O. Scott z „New York Times” opisuje to w taki sposób: „Pasja jest tak mocno skoncentrowana na okrucieństwie cierpienia Jezusa w jego ostatnich godzinach, że film wydaje się wyrastać bardziej z gniewu niż z miłości i nie podnosi na duchu, lecz raczej zadaje duszy gwałt (...). Autor nie dostarcza wyjaśnienia, po co było pokazywać całą tę rzeź”. Inny z „Newsweeka”, Dawid Ansen dodaje: „(...) odbiera się ją jak Ewangelię według markiza de Sade. (...) film Gibsona wywoła raczej nocne koszmary, niż stanie się natchnieniem wiary w Boga”. W „New Yorker”, David Denby, atakuje jeszcze mocniej: „Film, który Gibson stworzył ze swoich osobistych obsesji, jest obrzydliwą podróżą śmierci, ponurą procesją zdrady, bicia, krwi i agonii. Gibson ma takiego hopla na punkcie biczowania i krzyżowania Chrystusa i tak mało zainteresowany duchowymi znaczeniami jego ostatnich godzin życia, że grozi to przemianą Jezusowego przesłania miłości w przesłanie nienawiści”.

Waldemar Piasecki, korespondent „Przeglądu” w USA, w artykule pt. „Ewangelia według Gibsona” przytoczył ciekawą wypowiedź amerykańskiego rabina, która daje

nam wgląd w postrzeganie tematu przez Żydów: „Oglądałem film na zamkniętym pokazie. Jest scena, kiedy Piłat wskazuje na umęczzonego, zakrwawionego Jezusa i po łacinie zwraca się do tłumu: „Ecce homo... Ujrzyjcie człowieka”. Kajfasz po aramejsku domaga się: „Ukrzyżować go!”. Piłat po łacinie: „Czyż to jednak nie wystarczy?!”. Tłum wtedy zaczyna wykrzykiwać po aramejsku: „Nie! Nie! Nie!”. Przyznam, że zdrętwiałem. Ekspozycja dobra i zła ze wskazaniem palcem, gdzie jest jedno, a gdzie drugie, była porażająca. Siedzący obok mnie amerykański przyjaciel, protestant, nachylił się do mnie i powiedział: „Przepraszam cię”. I to mnie przeraziło jeszcze bardziej. Jeżeli dzieje się coś takiego, to ten film dzieli i dzielić będzie. Mam nadzieję, że nie po to został zrobiony...”.

Mel Gibson oświadczył, że zarzucanie mu antysemityzmu jest nieporozumieniem, ponieważ jako katolik nie może żywić negatywnych uczuć do starszych braci w wierze, zaś jako filmowiec hollywoodzki od lat współpracuje i utrzymuje kontakty z Żydami i bardzo ich ceni.

W filmie cierpi człowiek, a widz razem z nim, w narastającym przerażeniu i sprzeciwie. Nie ma cienia wątpliwości, że inspiratorem i motorem tego nieludzkiego cierpienia jest Kajfasz. W filmie ponury psychopata, opętany nienawiścią do Jezusa psującego mu dobre układy z rzymskim namiestnikiem Piłatem. Ten ostatni zaś to subtelny i wrażliwy mąż stanu, żywiący sympatię do Chrystusa, ale niemogący mu pomóc ze względu na bezwzględne realia polityki wyznaczone układem przedstawiciela Rzymu z żydowskim arcykapłanem. Ale Piłat to także człowiek, który zaprzepaszcza swoją możliwość nawrócenia. Jezus co najmniej dwa razy bezpośrednio apeluje do jego sumienia. Mord polityczny ma być ceną spokoju politycznego. Kajfasz jest entuzjastą tej opcji, Piłat — rozdartym przyzwalającym. Kibicuje rozfanatyzowana żydowska tłuszcza.

Od razu wiadomo było, że fragment Ewangelii Mateusza 27,25 będzie kością niezgody dla światowej społeczności żydowskiej. W filmie nie znajdzie się śladów zrównoważonego oglądu sytuacji rozgrywającej się w Jerozolimie. Wina sprawców pojmania Jezusa i jego oprawców jest oczywista: „Krew jego na nas i na dzieci nasze”. Choć Vaticanum II zdjął z Żydów zarzut tzw. bogobójstwa, dając tym samym jasne wskazanie dla wiernych, przekaz Ewangelii jest jasny: ówcześni Hebrajczycy biorą na siebie narodową odpowiedzialność za śmierć Jezusa. Dokonują wyboru. Czy przechodzi ona na współczesny naród żydowski? Najprawdopodobniej, choć stwierdzenie to najwyraźniej dotyczy każdego z nas. To nasze grzechy ukrzyżowały Chrystusa i to my wzięliśmy na siebie Jego krew. Ale paradoksalnie śmierć Jezusa stała się naszym wybawieniem.

Gdy Chrystus zawisł na krzyżu jego wrogowie skierowali na niego całą swoją wściekłość. Kapłani, przywódcy i uczeni w Piśmie wraz z motłochem połączyli się w naigrywaniu się z konającego Zbawiciela. Pokrzepienie nie nadeszło z dołu, ale z krzyża obok, gdzie umierał złoczyńca. Człowiek ten w przeszłości widział i słyszał Chrystusa, a usłyszana nauka przemawiała do jego przekonań. Stłumił je jednak jak Piłat, został osądzony jako kryminalista i skazany na ukrzyżowanie. Jezus

odpowiedział mu natychmiast, że będzie z nim w niebie. W swej agonii nie zapomniał też o będącej bez środków utrzymania matce, przekazując ją w opiekę Janowi, który kiedyś napisze Apokalipsę na skalistej wyspie Patmos.

Gwałtowne kuszenie przez szatana, aby skrócić swe męki i zszedł z krzyża, nękało serce Jezusa. Obawiał się, że grzech był tak wielką obrazą Boga, iż spowoduje jego rozdzielenie z Ojcem na wieki. Ale Bóg nie opuścił swego Syna. Wraz ze świętymi aniołami był obecny przy krzyżu i ukrył w gęstych ciemnościach ostatnią ludzką mękę Jezusa. Cierpiał razem z nim, jednocześnie pochylając się nad przyszłością wszystkich istnień ludzkich.

Wtem mrok ustąpił od krzyża i mocnym głosem Jezus zawołał: „Wykonało się!”, a zaraz potem: „Ojcze w ręce twoje polecam ducha mego”. Skłonił swoją głowę na pierś i umarł. Według Ewangelii nastąpiło potem gwałtowne trzęsienie ziemi, a zasłona w świątyni rozdarła się z hałasem od góry do dołu, odsłaniając przed wzrokiem ludzkim miejsce niegdyś wypełnione obecnością Boga. Tu przebywał Bóg. Tu objawiał swą chwałę. Miejsce najbardziej ze wszystkich na ziemi uświęcone, przestało być święte. Przyszedł koniec składania wszelkich ofiar za grzechy.

Niewykluczone, że dzięki nowoczesnej technice i wizji reżysera film uczyni dla zagubionych dusz więcej, niż armia kapłanów. Jeśli „Pasja Chrystusa” pozwoli ci głębiej zrozumieć istotę zbawienia, spojrzeć na swe życie z dystansu, a może je całkowicie odmienić, to nie pozostaje mi nic innego, jak zaprosić cię na seans do kina. Amatorzy przemocy nie mają tam czego szukać.

Oryginalne zdjęcia, przetworzone cyfrowo na potrzeby nadzieja.pl, pochodzą z oficjalnego serwisu filmu: thepassionofthechrist.com.